

Przemysław Mrówka: Brexit, czyli ostrzeżenie

Miarą unijnej arogancji może być to, że dopiero w 2004 roku wprowadzono artykuł 50. pozwalający na opuszczenie Unii. Przez 12 lat nikt nawet nie pomyślał, że członek tej organizacji może chcieć z niej wystąpić – pisze Przemysław Mrówka w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Résumé 2017

Wybór jednego elementu ze zbioru jest łatwy tylko w naukach ścisłych. Gdy musimy kierować się czymś tak niejasnym, jak kryterium „ważności” wydarzenia, decyzja staje nieporównanie trudniejsza. W mojej subiektywnej opinii najważniejszy epizod 2017 roku miał miejsce 29 marca i było to złożenie przez Tima Barrowa, ambasadora Zjednoczonego Królestwa przy Unii Europejskiej, sześciostronicowego listu w którym premier Theresa May informowała Radę Europy o wdrożeniu procedur Artykułu 50 Traktatu o Unii Europejskiej, czyli opuszczeniu Unii.

Dość przewrotnie być może, ale uważam, że referendum, w którym Brytyjczycy zdecydowali o wyjściu z Unii ma mniejsze znaczenie. Od zarania istnienia tej struktury jej poszanowanie dla woli narodów wyrażanej w formie referendum, apeli czy manifestacji było dość dyskusyjne. Nasuwającą się analogią jest tutaj kwestia Traktatu ustanawiającego Konstytucję dla Europy. W 2005 roku traktat ten w referendum odrzuciły Francja i Holandia, co zgodnie ze zdrowym rozsądkiem powinno zakończyć żywot tego pomysłu. Zamiast tego

jednak opracowano Traktat Lizboński, zawierający najważniejsze elementy poprzednika, i ponownie próbowano go ratyfikować. Tym razem, ponownie w drodze referendum, odrzuciła go Irlandia i ponownie zamiast pogodzić się z jego wynikami, dodano do tekstu pewne ustępstwa na rzecz Szmaragdowej Wyspy i rozpisano referendum raz jeszcze. Tym razem się udało.

Czy tym razem referendum przeprowadzono by do skutku? Trudno powiedzieć, choć wydaje się to wątpliwe. W odróżnieniu od Barroso, który w kwestii Konstytucji dla Europy i Traktatu Lizbońskiego od razu pokazał, że nie ma zamiaru ustąpić pola, Juncker sprawiał wrażenie, że się na poddanych Królowej obraził. Niemal od razu zadeklarował dążenie do jak najszybszego rozwiązania kwestii, niemal pozbycia się Zjednoczonego Królestwa. Tonowała go kanclerz Angela Merkel, postulując cierpliwość i negocjacje i, choć koniec końców proces Brexitu rozpisany został na lata, Juncker długo jeszcze sugerował natychmiastowe wyrzucenie Wielkiej Brytanii. Tym razem Bruksela nie dysponowała również rządem gotowym do współpracy z nią, bowiem dzień po wyniku referendum do dymisji podał się premier David Cameron, zaś Theresa May, która objęła fotel 13 lipca, nie była już skłonna do podejmowania prób zmiany wyniku. Co ważniejsze, referendum po prostu było niewiążące, dopiero od decyzji rządu zależało, czy posłucha woli obywateli.

Pozostawiając więc na boku rozważania hipotetyczne, należy podkreślić fakt: po raz pierwszy w historii Unii rząd kraju członkowskiego podjął decyzję o wsparciu decyzji swoich obywateli w starciu z Brukselą i wystąpieniu z tego klubu. I nie była to ani Polska, ani Węgry, unijne *enfant terrible*, lecz Zjednoczone Królestwo, wprawdzie zawsze raczej izolacjonistyczne, ale jednak grające w tej

samej, co Bruksela, drużynie. O ile referendum było szokiem dla euroentuzjastów, o tyle wdrożenie Artykułu 50. uzyskało rangę niemal apokaliptyczną, będąc ostatecznym i formalnym potwierdzeniem ich obaw. Eurosceptycy są zjawiskiem również starym, co sama Unia, nikt więc nie traktował ich jako poważnego zagrożenia, byli raczej straszakiem, czarnym ludem postępowej, euroentuzjastycznej części społeczeństwa kontynentu. Teraz euroentuzjaści i eurokraci pospółu zdali sobie sprawę z tego, że zagrożenie, które traktowali jako marginalne, ma realne kształty.

Znaczna część owego szoku wynika z arogancji. Unia Europejska przestała być międzypaństwowym sojuszem, formą koordynacji ekonomii i polityki międzynarodowej. Urosła do rangi superstruktury nie tylko politycznej i prawnej, ale także moralnej, filozoficznej i historycznej. Coś, co w zamyśle miało być zwykłym sojuszem uznane zostało za szczytowe osiągnięcie historii, apogeum rozwoju Europy i jej mieszkańców. Trudno znaleźć w historii odpowiednik tej sytuacji. Najbliższy będzie chyba Rzym twierdzący, że poza limesem świat się kończy, istniał on jednak te dwa tysiąclecia temu i budował swe miasta oraz krzewił grecką filozofię wtedy, gdy resztę kontynentu faktycznie porastały puszcze. Miarą unijnej arogancji może być to, że dopiero w 2004 roku wprowadzono przywoływany już artykuł 50., pozwalający na opuszczenie Unii. Przez 12 lat nikt nawet nie pomyślał, że członek tej organizacji może chcieć z niej wystąpić.

Przeświadczenie o współczesnego modelu europejskiego nad każdym innym widoczne było wielokrotnie w wypowiedziach, zachowaniach i polityce eurokratów i euroentuzjastów. Chyba najmocniej dawało się zaobserwować ich europocentryzm przy okazji kryzysu imigracyjnego, przykładów można by jednak wyliczyć o wiele więcej. Do brexitu nikt

Unia Europejska przestała być między państwowym sojuszem, formą koordynacji ekonomii i polityki międzynarodowej. Urosła do rangi superstruktury nie tylko politycznej i prawnej, ale także moralnej, filozoficznej i historycznej

prawdziwości tego twierdzenia nie sprawdzał, apriorycznie zakładano, że przeciwników Unii nie może być zbyt wielu. Dopiero uruchomienie procedury opuszczenia Unii pokazało jej zwolennikom, że ktoś może być owym

szczytowym osiągnięciem cywilizacji do tego stopnia zniechęcony, że postanowi go opuścić.

Mamy tutaj dwie płaszczyzny. Po pierwsze, kwestia oddziaływania społecznego. Szok związany z Brexitem odpuścił dość szybko. Zgodnie z euroentuzjastyczną racjonalizacją tego faktu, winne są tradycyjny brytyjski eurosceptycyzm oraz zmanipulowanie wyborców przez liderów ugrupowań antyunijnych. Nie jest to nastawienie, które pozwala na wyciągnięcie wniosków.

Druga płaszczyzna jest już bardziej instytucjonalna. Rozmowy z Londynem to niejedne wyzwanie, które artykuł 50 postawił przed Brukselą. Nastroje antyunijne stopniowo przybierają na sile w Europie. Skala zjawiska nie jest może taka, jak alarmistycznie przestrzegają media liberalne (lub optymistycznie ogłaszają media eurosceptyczne), jednak jeszcze da lata temu nie do pomyślenia była by sytuacja, w

której w Polsce i na Węgrzech funkcjonują rządy niezbyt wobec Brukseli koncyliacyjne, w Niemczech spada poparcie dla kanclerz Merkel, zaś Alternative für Deutschland zdobywa drugie miejsce w wyborach, kandydatka Front national zdobywa drugie miejsce w wyborach prezydenckich, zaś faktyczny zwycięzca okazuje się koniec końców realizować jej politykę w kwestii imigrantów zaś Österreichische Volkspartei wystawia kanclerza otwarcie krytykującego politykę imigracyjną Unii.

Brexit okazał się katalizatorem tych zjawisk i zarazem pchnął Brukselę do pracy nad sposobami poradzenia sobie z nimi. Jak do tej pory, sprawdzian wypada zdecydowanie niepomyślnie. Unia Europejska okazała się niezdolna do przeprowadzenia autorefleksji i zreformowania się. Powtarzane są zakłęcia o konieczności większej integracji, o solidarnej postawie czy poszerzaniu współpracy, nie idą jednak za nimi żadne rozstrzygnięcia, plany ani decyzje. Z drugiej strony sposób prowadzenia negocjacji przez stronę unijną, jej retoryka i kłody rzucane pod nogi Londynu sugerują jednoznacznie, że jest to ostrzeżenie. „Brexit może i jest faktem – zdają się mówić eurokraci – jednak, jak widzicie jest to taka droga przez mękę, że lepiej się zastanówcie czy Grexit, Departugal czy Czechout się naprawdę opłaca, bo koszty mogą być większe, niż sądzicie”.

Rozpoczęcie Brexitu było powiedzeniem przez Zjednoczone Królestwo „sprawdzam!” dla całej idei unijnej. Okazało się, że jest ona mocno spróchniała, naprawdę groźne jest jednak to, że nikt się nie pali do wymiany belek. Bruksela nie ma pomysłu, co zrobić dla zapewnienia naszemu wspólnemu domowi bezpieczeństwa, decyduje się jedynie na drobne przemalowanie elementów architektonicznych, ustawianie niezdyscyplinowanych lokatorów w kącie i uprzykrzanie życia temu

*Rozpoczęcie Brexitu było
powiedzeniem przez
Zjednoczone Królestwo
„sprawdzam!” dla całej idei
unijnej. Okazało się, że jest
ona mocno spróchniała,
naprawdę groźne jest jednak
to, że nikt się nie pali do
wymiany belek.*

mieszkańcowi, który
zdecydował się wyjść
z budynku. Reszta
lokatorów zaś
zaczyna się na to
traktowanie,
niepewność i
arogancję
gospodarza coraz
bardziej oburzać. I
jeśli kiedyś Unia się
rozpadnie, to będzie
to pokłosiem tego, że
nikt w Brukseli nie

potrafił wyciągnąć wniosków z sześciostronicowego listu, wysłanego 29
marca 2017 przez Theresę May.

Przemysław Mrówka